№ 38. Rok XXXIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Na prowincyi
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Chmielna Nr 26.

Warszawa, dnia 7 (19 Września) 1891 roku.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

OD REDAKCYI.

Przypominamy odnowienie prenumeraty na kwartał czwarty roku bieżącego. Warunki prenumeraty pozostają te same, a mianowicie:

W Warszawie kwartalnie rs. 1.

Na prowincyi z przesyłką pocztową:

kwartalnie rs. 1 kop. 25.
półrocznie rs. 2 kop. 50.
rocznie rs. 5.

Adres: Emil Skiwski, redaktor i wydawca „Tygodnika mód i powieści" w Warszawie, ulica Chmielna Nr 26.

Upraszamy Szanownych Prenumeratorów o nadsyłanie kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Za zmianę adresu kop. 15.

ROGATA DUSZA.

POWIEŚĆ

Juliana Łętowskiego.

(Dalszy ciąg.)

. . . .

W tydzień później, wczesnym, chłodnym rankiem listopadowym, przed jeden z mniejszych, zacisznych kościołków zajechały dwie karety. Z jednej wyskoczył Konrad, podając rękę pani Daleckiej, oraz rozpromienionej szczęściem, choć bladej i zmizerowanej Józi, w drugiej znaleźli się Wiktor, Schwartz i Marczewski. Oni też, wraz z małem gronem modlących się właśnie w kościele osób, byli jedynymi świadkami ślubu młodej pary.

Gdy po wysłuchaniu mszy i dopełnionym obrzędzie wychodzono z świątyni, począł pruszyć pierwszy śnieg, obsypując wszystko dookoła wielkiemi, choć szybko jeszcze topniejącemi płatkami.

— Ot, zima! Ona nas ztąd wygania! — szepnął Konrad, spoglądając z uwielbieniem na młodą swoję żonę, w której oczach świeciły jeszcze łzy szczęścia.

— Tak, tak! Pora wam uciekać! — potwierdził Wiktor.

Ranek zbiegł na wspólnem śniadaniu, które własnym kosztem wyprawiła dumna ze swej wychowanki pani Dalecka, popołudnie wypełniły ostatnie przygotowania do wyjazdu, wieczorem zaś całe to grono znalazło się znów na dworcu kolei.

— Do widzenia! Do wiosny! — mówił Konrad, żegnając się serdecznie z młodymi przyjaciółmi.

— Do wiosny! — odkrzyknięto.

— Wróćcie wraz ze słońcem i jaskółkami! — dodał Schwartz.

— A nie zapominajcie o nas! Piszcie jaknajczęściej! — zawołał Marczewski.

Ostatni uścisk Konrada dostał się Wiktorowi.

— Trzymajże się tu! — szepnął mu na ucho, uśmiechając się wesoło.

— Nie bój się, wstydu ci nie przyniosę! — odparł Zawadzki. — Ale... ale zdechnę, gdy nie wrócicie rychło.

Jeszcze kilka słów i uśmiechów z okien wagonu, i pociąg ruszył...

Prawie w tym samym czasie, pani Kamilla, siedząc na ulubionej kozetce wraz z przychodzącą do zdrowia córką i trzymając jej główkę na swych piersiach, wiodła z nią cichą, długą rozmowę. W salonie było ciemno, śnieg topniał na szybach okien, zdala zaś, z sąsiedniego pokoju, dochodził monotonny głos uczącego się lekcyi Zdzisia.

Na chwilę właśnie chłopiec przerwał swoję naukę i wtedy wyraźniej zabrzmiał głos Mani.

— O! nie pytaj mię o to, mamusiu — prosiło dziewczę, — nie pytaj! Jeszcze nieczas! Jeszcze o tem spokojnie mówićbym nie mogła... Ja sama może kiedyś będę się dziwiła temu, com uczyniła, ale dziś, mamusiu, ja ci nie umiem powiedzieć, jak

się to stało... To było szaleństwo, wiem, ale ja się temu oprzeć nie mogłam... Prawda żem powinna była na to być przygotowaną, powinnam była domyślać się wszystkiego... Ach, i domyślałam się nawet... czekałam tylko z dnia na dzień, z godziny na godzinę, na potwierdzenie swych przeczuć... A jednak, gdy przyszło mi to usłyszeć, gdy Zdziś tę okrutną wiadomość przyniósł... mamo, mamo!... wówczas straciłam władzę nad sobą... To było okrutne, bezlitosne!... Zdawało mi się że ty, mamo, i Zdziś, jesteście w zmowie, że szydzicie ze mnie... Usłyszałam jakiś piekielny hałas dokoła siebie, jakby świat cały począł się ze mnie wyśmiewać i natrząsać się nad moim bólem. Wiem też tylko, że zaćmiło mi się w oczach, żem wstała od stołu, żem wybiegła tam, do tego pokoiku, ale jak i kiedy pochwyciłam tę nieszczęsną flaszeczkę, która przecież od tylu tygodni stała mi na oczach, nie zwracając na siebie mojej uwagi i nie nasuwając mi tej rozpaczliwej myśli o śmierci, tego już nie wiem, nie pamiętam... Umrzeć... umrzeć koniecznie... jaknajprędzej, to było jedyne moje pragnienie...

Pani Kamilla złożyła pocałunek na płonącem czole córki.

— Zapomniałaś o mnie! — szepnęła z łagodnym wyrzutem. — Nie przyszło ci na myśl, jakim ciosem byłaby dla mnie śmierć twoja i to jeszcze śmierć taka! O! Maniu, Maniu!

Mania przytknęła usta do ręki matki.

— Istotnie! — odparła zcicha. — Wybacz, matuchno złota!... nie myślałam wówczas o niczem... wiedziałam tylko, że mi źle na świecie i że dłużej już cierpieć nie potrafię...

Nastała chwilowa cisza.

Służący wszedł z lampą, odprawiono go jednak, prosząc aby postawił ją w buduarku i tylko drzwi doń uchylił dla wpuszczenia łagodnego strumienia światła. I matka i córka, nie umawiając się zresztą o to wcale, nie byłyby teraz za żadną cenę spojrzały sobie w oczy. Wolały przy tej spowiedzi siedzieć w półmroku, który pozwalał na większą szczerość w wynurzeniach.

— Teraz jednak chcę żyć znowu — mówiła dalej Mania, tłumiąc łzy, cisnące się jej do oczu,—teraz nie sprowadzę już nawet cienia smutku na twoje czoło, mamusiu... Będę cicha, spokojna... Lata miną, a nie usłyszysz żadnej skargi z ust moich i nie będziesz miała powodu skarżyć się na mnie... Tak będzie... wierz mi, mamusiu... Ale o jedno proszę: zostaw mi, mamo, wolność... nie broń mi czasem o nim pomyśleć... Ja się z tego wyleczę, zapomnę, zduszę ten ból, który dziś jeszcze serce mi rozrywa, ale nie mogę tego teraz już uczynić, nie mogę przestać myśleć o nim, bo przestałabym wówczas i żyć...

— Ach, nieszczęście, nieszczęście — westchnęła pani Kamilla. — Biedactwo ty moje! I pomyśleć że ja temu winnam, ja sama! Zamiast bowiem odrazu wyśmiać tę twoję miłość, która była przecie czystem dziecińchstwem, ja sama mimowoli podsycałam twoje nadzieje, żyjąc wraz z tobą myślami o nim... o tym...

Nie mogła dokończyć, Maniusia bowiem, obawiając się jakiego złego słowa, zamknęła jej usta swemi wargami.

— Ach, tu nikt nie winien — rzekła szybko, — nikt, nawet on! Tak, to było nieszczęście...

I poczęła dalej cichutko mówić, iż wierzy w to, że takie nieszczęścia sam Bóg zsyła... Zobaczyć i pokochać, to okrutne, ale tak bywa czasami. Niejedna z jej rówieśniczek może tak kocha lub kochała, tylko miłość tę kryje, umie ją zwalczać, tłumić, dusić...

— Ja tego dotąd nie potrafię — zawołała po chwili gwałtowniej. — Kocham!... On ma się żenić z inną, wiem... i od tygodnia powtarzam sobie ciągle, żem powinna go znienawidzić teraz, że powinien mi obrzydnąć... a jednak ja jeszcze go kocham. On sam może śmieje się ze mnie w tej chwili... śmieje wraz z tamtą... a ja go kocham!... To może być zabawne, może być śmieszne i warte śmiechu, ale jak to boli, mamusiu, jak boli!...

Nie mogąc dłużej usiedzieć na miejscu, wyrwała się przy tych słowach z objęć matki, powstała z kozetki i poczęła się zwolna przechadzać po ciemnym salonie.

— A jednak teraz już zapomnieć trzeba, bo do czego to doprowadzi, do czego? — szepnęła strwożona pani Kamilla.

Mania zatrzymała się przy oknie, patrząc na frunące płatki śniegu, które wiatr miotał na szyby, a światło ulicznej latarni oświetlało jaskrawo.

Łzy poczęły płynąć zwolna po jej licach.

Po chwili otarła je ukradkiem i przysuwając się znów do matki, szepnęła:

— Niech już o tem Bóg za mnie myśli... Mnie dziś i z tym bólem moim dobrze... Ach, mamusiu złota! Rodząc się nanowo, chciałabym znów mieć ciebie przy sobie... i raz jeszcze go spotkać... pokochać... i znowu cierpieć to samo!

I swobodna już zupełnie, przymilając się matce i wdzięcząc się do niej podawnemu, dodała:

— No, matuchno! Uśmiechnijże się do mnie! Widzisz jakam spokojna, jaka szczęśliwa... No, uśmiechnij się i ucałuj upartą Maniutkę...

Pani Kamilla zaszlochała głośno.

— Dziecko moje najdroższe! — zawołała, zalewając się łzami.

XIII.

Konrad i Józia dotrzymali obietnicy, pisywali bardzo często. Marczewski i Wiktor miewali od nich po dwa listy na tydzień, a komunikując je sobie wzajemnie, wiedzieli o każdym niemal kroku młodego małżeństwa.

Po dwóch dniach wypoczynku w Wiedniu, udała się młoda para wprost do Florencyi i Rzymu, po tygodniu wreszcie dotarła do Sycylii, osiedlając się w okolicy Palerma. Mieli tam całą zimę przepędzić, Konrad więc najął małą willę, a Józia zajęła się gospodarstwem, o czem donosiła uszczęśliwiona w liście do brata, opisując szczegółowo swoje codzienne zajęcia, troski i kłopoty, jakie sprawiała jej szczególniej trudność porozumienia się z sąsiadami i dostawcami żywności.

Nadzieje i rachuby co do wpływu południowego klimatu na jej zdrowie nie zawodziły dotąd wcale. Była swobodna, wesoła, rozbawiona, wszystko ją zajmowało, wywołując jej szczere, dziecięce niemal zachwyty, siły przytem wracały, a wszelkie ślady zabójczej choroby zniknęły, zdawało się, nazawsze.

Marczewski, który pomimo wszystkiego nie zaniedbywał swych wizyt u pani Trzcińskiej i zawsze bywał tam serdecznie witany, wspomniał w rozmowie z Manią o jednym takim liście.

Było to już w końcu Grudnia. Panienka wydawała się zupełnie spokojna i korzystając z chwilowej nieobecności matki, sama rozpoczęła rozmowę o tym przedmiocie.

— Mógłby mi pan ten list pokazać? — spytała.

Kaziek zawahał się na chwilę i miał już na ustach odpowiedź, iż właśnie ostatni list w domu zostawił.

Mania jednak odgadła widocznie ten jego zamiar, gdyż dodała natychmiast:

— Niech pan się nie dziwi mej ciekawości. Od tegom kobieta... Proszę! — i wyciągnęła rączkę.

List, pisany ręką Konrada, pełen był szczęścia, nadziei, upojeń, musiał więc być dla niej trucizną. Kaziek dobrze o tem wiedział, dlatego się wahał.

Ale z nią nie było rady.

— Proszę! — powtórzyła natarczywie.

Tyle zaś było w jej słowach spokoju, a w prośbie jakiegoś stanowczego rozkazu, że Marczewski, nie namyślając się już dłużej, podał jej złożony we czworo arkusik papieru.

Wzięła go i odczytała do końca, zatrzymując się tylko dłużej na niektórych wierszach lub wyrazach. Udawała przytem bardzo zręcznie, że nie może niektórych słów odczytać, powtarzała je bowiem głośno, dodając: „Ach, tak!... rozumiem!..."

Pod koniec dopiero, gdzie Konrad raz jeszcze zapewniał, iż szczęście jego nie ma teraz granic, zadrżała zlekka i list wysunął się jej z ręki.

Podniosła go jednak, zanim Kaziek mógł to uczynić, i składając spokojnie, szepnęła:

— Ładny kraj! Muszą tam być szczęśliwi!

Poczem, zmieniając nagle przedmiot rozmowy, rzekła:

— Wspominał pan coś, że oczekuje na siostry? Czy może już przyjechały?

— Onegdaj.

— Na karnawał? Dla zabawy?

Kaziek, nie spuszczając z niej wzroku, potwierdził to zapytanie skinieniem głowy.

— Ach, to wybornie, doskonale! — dodała szybko. — Bo i ja chciałabym się bawić w tym karnawale... Wie pan co, panie Kazimierzu, trzebaby tak jakoś zrobić, żebym się ja zapoznała z pańskiemi siostrami... Miałby pan co przeciwko temu?

— Ja? Cóż znowu?! Już panią znają z moich listów i z opowiadań... Od trzech dni... odkąd przyjechały... ciągle o pani mówimy.

— Ale jak to urządzimy?... Bo to z tą etykietą!... Boże, jak ja nie cierpię wszelkiej etykiety!

Poczęli się naradzać i postanowili, że pierwsze spotkanie nastąpi na jednym z publicznych balów. Reszta zrobi się sama.

— Wybornie, wybornie! — wołała Mania, klaszcząc w ręce.

Pani Kamilla, uszczęśliwiona ożywieniem córki, przystała z ochotą na wszelkie projekta i wszystko poszło, jak z płatka.

Zarówno panienki, jak i obie matki, polubiły się wzajemnie i szczerze zaprzyjaźniły. Po drugiem spotkaniu na „neutralnym" gruncie nastąpiły wzajemne wizyty, ułatwiające dalsze stosunki, a młodzież karnawałowa, widując zawsze razem te śliczne panienki, nazwała je "trzema gracyami." Na każdym z balów bywały w oblężeniu.

Kaziek, na widok tej zmiany w usposobieniu Mani, nie posiadał się z radości. Wróciwszy też z jednego z wieczorów prywatnych, na którym ciągle jej asystował, przyznał się do wszystkiego przed matką i siostrami.

— Kocham ją, kocham! — zawołał.

Matka i młodsza z sióstr, Laura, uściskiem i pocałunkami zaakceptowały jego zamysły. Tylko starsza, Helenka, która sama nosiła w sercu żal do Konrada, a znała dobrze z ust brata historyą Mani, szukała z nim spotkania na osobności i z właściwą sobie stanowczością zagadnęła bez ogródek:

— Słuchaj, Kaźku! Zdaje mi się, że ty się łudzisz. Czy ty nie widzisz, że ta jej wesołość jest sztuczną? Mojem zdaniem, ona szaleje tylko... szaleje, pragnąc się zagłuszyć... zapomnieć... Ale... ale nie zapomniała jeszcze... nie jest uleczona... wierz mi!

Kaziek wyśmiał te jej przestrogi.

Ona, Mania, tańczyła z nim wczoraj tak ochoczo. Niewiele brakło, a byliby już wczoraj powiedzieli sobie, że się kochają... Ot, tę czerwoną kamelią odpięła od gorsu, gdy jej podawał okrywkę przy wyjściu, i wcisnęła mu ją w rękę na schodach... Mimo to będzie jeszcze cierpliwym... będzie czekał... Nie chce teraz decyzyi ostatecznej... Pragnie sam, aby była uleczona zupełnie... A to musi nastąpić... i nastąpi... lada dzień... lada chwila...

— Zresztą — dodał, — dobrze mi z tem! Dlaczego chcesz mi moje szczęście zatruwać?

Siostra więc milczała, a on, biedak, ani się spodziewał, jak prędko przyjdzie mu przekonać się o prawdzie jej domysłów.

(*Dokończenie nastąpi.*)

UNIWERSYTETY NIEWIEŚCIE

w Stanach Zjednoczonych. *)

Niedowierzanie względem rzeczy oddalonych, a mało nam znanych, jest tak u nas zwykłem, iż lekceważenie, z jakiem mówi się o „amerykańskich doktorkach" i „amerykańskich emancypantkach" nikogo dziwić nie może.

Nie dowierzamy im, lecz równocześnie uważamy za stosowne opowiadać cuda o ułatwieniach, znajdowanych przez kobiety w Stanach Zjednoczonych, tem istnem *Eldorado* wszelkich swobód niewieścich. Według powszechnie utartego mniemania, piękna połowa rodu ludzkiego rządzi tam wszechwładnie, podwoje zaś wszechnic, akademij, uniwersytetów, jak zaczarowane, otwierają się przed nią.

Ta mniemana łatwość w otrzymywaniu nietylko wiedzy, lecz i stopni naukowych, wyrodziła właśnie owo lekceważenie, z jakiem patrzymy na dyplomowane Amerykanki, lub słuchamy echa o ich zawodowych tryumfach. Tymczasem przekonanie to jest z gruntu fałszywem, a wyrobił je tylko brak pozytywnych wiadomości o zakładach naukowych w Nowym Świecie i środkach pomocniczych, oddanych na usługi cór jego, tak żądnych wiedzy, tak gorączkowo i chciwie rzucających się do działalności społecznej i naukowej.

Wskutek tego, w dalszym ciągu notatek o wykształceniu kobiet za granicą, próbujemy dziś rzucić okiem na obce nam zupełnie, a najmylniej sądzone stosunki amerykańskie. W wędrówce do tego rzekomego Edenu swobód niewieścich posłuży nam tym razem za przewodnika praca dra Henryka Sterna z New-Yorku, który, ku wiadomości rodaczek swych, opisał szczegółowo medyczne fakultety i fachowe szkoły niewieście w stolicy Stanów Zjednoczonych.

*) Obacz artykuły, w N-rach 32 i 33 „Tygodnika" o „Wykształceniu kobiet w Anglii."

Według słów tego gruntownego znawcy miejscowych stosunków, ruch naukowy i emancypacyjny kobiet znajdował przez długi czas, a nawet znajduje teraz jeszcze, w Ameryce gorących przeciwników. Jeżeli więc lekarki, — bo doktór H. Stern medycynie główną poświęca uwagę — zostały postawione obecnie na równych prawach z mężkimi adeptami Eskulapa, to stało się to jedynie dzięki ich własnej zasłudze i dzięki energii z jaką kolegia, szpitale i towarzystwa przez nie powołane do życia stanęły odrazu na równym poziomie z sankcyonowanemi przez rząd instytutami, w których mężcy doktorzy, we wszelką pomoc zbrojni, nie zdołali jednak wznieść się wyżej nad te miłością do wiedzy ożywione pionierki nowych idej.

Wkrótce też zarówno stolica, jak i inne miasta pośpieszyły im ze stosowną pomocą, New-York zaś stał się głównem ogniskiem, którego promienie służyły w kwestyi wykształcenia kobiet za drogoskaz dla całego kraju.

Zobaczmy, jak w ognisku tem przedstawiają się medyczne studya niewieście.

Dzielą się one na trzy specyalne szkoły: aleopatyczną, homeopatyczną i zbiorową.

Dwie pierwsze założone są i prowadzone wyłącznie dla kobiet; trzecia, mieszana, otworzyła najpierwsza w państwie wstęp studentkom, pozwalając im — bez żadnych ograniczeń — przechodzić kursa ramię w ramię z mężkimi kolegami.

Powstanie szkoły aleopatycznej streszcza poniekąd rozwój kwestyi wykształcenia niewieściego w Stanach Zjednoczonych.

Oto gdy Boston i Filadelfia pozwoliły kobietom, przed czterdziestu laty, słuchać teoretycznie kursów lekarskich, lecz równocześnie wzbroniły im dostępu do klinik uniwersyteckich, garść ludzi wpływowych pośpieszyła założyć w New-Yorku, w 1854 roku, rodzaj szpitala, pod nazwą *The New-York Infirmary for women and children*, który miał kształcić praktycznie w sztuce leczenia. Studentki więc, zbrojne już w wiedzę teoretyczną, odbywały tu praktykę, której towarzyszyły jeszcze odczyty, na dwa uniwersyteckie semestry podzielone. Było to bardzo niewiele, ale środki materyalne zakładu nie pozwalały na więcej.

Zdawało się, iż studya w tych warunkach prowadzone, rozstrzelone, niedość gruntowne, mogą tylko skompromitować wiedzę niewieścią i nieufność ku niej wzbudzić. Potęga jednak silnej woli, pilności i wytrwałości tak jest wielką, iż wkrótce lekarki te, dzięki samodzielnej pracy, oraz wzorowemu prowadzeniu otwieranych przez nie zakładów medycznych i instytutów dobroczynnych, zjednały sobie nietylko uznanie ogółu, lecz i najchlubniejsze odznaczenia ze strony rządu.

Otoczone zpoczątku zawiścią i zazdrością, torujące sobie drogę śród nędzy nieraz, wykluczane z towarzystw za najszlachetniejsze swe chęci, za miłość do ludzkości i wiedzy, doktorki wykształcone w new-yorskiej *Infirmary* — pisze doktór Stern, — stały się wkrótce przykładem, wzorem nieledwie, niedościgłym dla mężkich swych kolegów. Nieuprzedzona też część opinii publicznej pochyliła czoło przed ich zaparciem się siebie, poświęceniem i wiedzą rozległą, rząd, zaś w uznaniu zasług ich, pozwolił otworzyć w 1865 roku, obok *Infirmary*, specyalną szkołę medyczną dla kobiet.

Fakt ten został przyjęty z ogólnem niezadowoleniem. Uczącym się bowiem nie chodziło o zakładanie szkół coraz nowych, lecz o przyjmowanie studentek do bogatych w środki pomocnicze i materyalne uniwersytetów mężkich.

Wtedy to kobiety, pragnące się poświęcić medycynie, zaniosły prośbę do „Fakultetu doktorów i chirurgów," w której, tłómacząc jak wielką krzywdę niedostatecznie, powierzchownie tylko kształcone lekarki mogły przynieść cierpiącej ludzkości, proszono o przypuszczenie ich do tegoż wydziału.

Pomimo jednak znacznej, ofiarowanej wzamian sumy, *College of Physicians ad Surgeons*, zazdrosne o samodzielnie dzierżony dotąd monopol, dało stanowczo odmowną odpowiedź.

Wtedy to posypały się składki i z ubogich, wdowich groszy stanął nowy gmach dla infirmeryi niewieściej, w starych zaś murach założono pierwszą na całym obszarze Stanów Zjednoczonych, specyalną szkołę medyczną dla kobiet. Pomimo słynnego bogactwa Amerykanów, środki jej tak były ograniczone, iż nowowstępujące studentki musiały opłacać zgóry kurs trzyletni, w którym, wbrew przyjętemu dla mężczyzn pięcioletniemu terminowi, zamknięty został cały obszar wiedzy lekarskiej.

Woman's Medical College wprowadziło równocześnie nieznaną gdzieindziej katedrę hygieny, oraz egzamina jawne, publiczne, na które zapraszano najpierwsze powagi naukowe i medyczne. Prowadzone przez siły młode, entuzyastyczne, medyczne kolegium niewieście postanowiło zająć odrazu w nauce stanowisko wyższe od zakładów mężkich. W tym celu, wbrew zwyczajom amerykańskim, ustanowiono egzamin wstępny, usuwający mniej zdolne kandydatki od dalszych studyów, kurs ich zaś przedłużono, w 1876, do ośmiu semestrów.

Utrudnienia te: egzamina wstępne, przedłużenie kursu i bardzo obostrzony egzamin doktorski zmniejszyły liczbę studentek o połowę odrazu. Te zato, które trudności pokonać zdołały, zabłysły wkrótce wiedzą tak gruntowną, iż pomimo całej zawiści zawodowej, pomimo walki o chleb, bardziej w Ameryce zajadłej i bezwzględnej, mężcy koledzy otworzyli im sami wstęp do swych szpitali, stowarzyszeń i t. d.

Audytorya jednak słynnych i poważnych uniwersytetów amerykańskich, dotąd, z nieubłaganą zacietością, zamknięte dla nich zostały. Rutyna opiera się z całej siły prądowi, który lada chwila wstrząśnie nią w podstawach i na zawsze obali.

Na wzór więc *Woman's Medical College* otworzono następnie szkołę homeopatyczną, p. t. *New-York Medical College* i kolegium zbiorowe: *Eclectic Medical College*. We wszystkich trzech doprowadzono wstępnemi egzaminami do tego, iż przyjmowane tu są jedynie kobiety z wszechstronnem wykształceniem humanitarnem. Zamiast więc dawnych felczerek, dozorczyń chorych i t. d., dziś widzimy dziewczęta ze starannem wychowaniem domowem, które bądź to ukończyły jeden z licznych wyższych zakładów edukacyjnych dla kobiet, bądź, w braku stosownego patentu, zdobyły wiedzę rozleglejszą na drodze studyów prywatnych. Warunek ten, podnosząc poziom niefachowej, lecz ogólnej inteligencyi śród kobiet, wyklucza zarazem zbyt młode studentki. Wiek ich też waha się między 20-ym i 30-ym, a nawet 30-ym i 40-ym rokiem, opłata zaś za kurs trzyletni wynosi od 270 do 400 dolarów. Dołączywszy do tego koszta utrzymania, mieszkania, książek etc., co drugą taką sumę rocznie wyniesie, zobaczymy iż demokratyczna Ameryka nie jest wstanie, dziś jeszcze, uprzystępnić wiedzy dla ubogich swych rodaczek.

W owym więc raju swobód niewieścich niewiele dotąd dla kobiet uczyniono, choć one wzamian z niezmordowaną pracują usilnością.

Za dowód niech posłuży fakt, iż w kolegium aleopatycznem, *Woman's Medical College*, na 26 zwyczajnych i nadzwyczajnych profesorów, wykłada 15 kobiet i to wszystkie bezpłatnie, czerpiąc środki do życia z prywatnej jedynie praktyki. Szkoła homeopatyczna, *New-York Medical College*, na 15 profesorów i 10 docentów posiada 14 profesorek, pracujących znów bezinteresownie dla dobra publicznego. Na fakultecie medycznym zbiorowym, *Eclectic Medical College*, na 23 wykładających zajmuje katedrę jedna tylko kobieta.

Pierwszy z zakładów tych posiadał w roku zeszłym 80 studentek, drugi 50, trzeci 10 tylko. Razem więc wykształcają one rocznie sto kilkadziesiąt lekarek, przyczem, jako przedsięwzięcia czysto prywatne, pozbawione wszelkiej pomocy ze strony rządu, walczą one, narówni ze swemi słuchaczkami, o chlebie i wodzie nieraz, dla miłości wiedzy jedynie, znosząc trudy, głód i uprzedzenia nietylko publiczności, ale i egoistycznie broniących im wstępu do medycznej karyery samolubnych kolegów.

Żałujemy, iż brak miejsca nie pozwala nam na przytoczenie obszerniejszych ustępów z pracy d-ra Sterna. Obznajmia on nas dokładnie z całym przebiegiem kursu w danych szkołach, z warunkami egzaminów i wreszcie z wszelkiemi instytucyami, w których leczą doktorki. O ile jednak wszystkie prawie szpitale dla dzieci i kobiet są pod wyłącznym zarządem i nadzorem lekarek, o tyle praktyka na mieście bywa im rozmyślnie utrudniana. Chcąc bowiem uzyskać do niej prawo, potrzebują one, obok dyplomu, wykazać parę lat zajęcia bezpłatnego w szpitalach i złożyć stosowny egzamin państwowy.

Jeżeli teraz przypomnimy sobie, iż wszelkie inne szkoły i uniwersytety w St. Zjednoczonych są rządzone temi samemi prawami, co trzy kolegia nowojorskie, to przekonamy się, jak mylnem jest lekceważenie nasze dla lekarek amerykańskich. Pracują one w pocie czoła, idą nieraz naprzód o chlebie i wodzie, a spełniając u siebie rolę litościwych Samarytanek, stają się dla innych wzorem postępu i samodzielności.

D-r Stern nazywa też lekarkę amerykańską żywą pochodnią cywilizacyi i miłosierdzia.

A. K.



W odbitce tomowej wyszły zpod prasy trzy nowelle Estei, pod tytułami **„Mój testament,"** **„Mea"** i **„W sercu garbuska."** Utalentowana autorka i w tych utworach stoi na poziomie prawdziwego artyzmu i składa w nich dowód wielkiego daru obserwacyi i bardzo subtelnej znajomości serc ludzkich, a nadewszystko natury kobiecej. Ta znajomość widoczną jest najbardziej w „Mei," choć to tylko wesoła humoreska. Ale bohaterka jej to najprawdziwsza kobieta, rządząca się w postępowaniu sercem i kaprysem, lekceważąca wszelką ścisłość najprostszej logiki, drapieżna przez egoizm, bezlitosna z całą naiwnością wypieszczonego kociątka, wdzięczna, ładna i, pokobiecemu, władająca i zwycięzka przez miłość.

Mniej pomyślnie radzi sobie Esteja z postaciami mężkiemi, które zpod jej pióra wynoszą jakieś nienaturalne kształty rozkapryszonych serc i głów. Takim jest Stefan w „Moim testamencie," z którego może powodu cała ta nowella traci na jasności i jednolitości. Stanowi ona pamiętnik przedśmiertny młodej kobiety, skazanej na rychły skon z dziedzicznej choroby serca. Biedna Elza umiera istotnie nieledwie w przeddzień ślubu, zapisując narzeczonego jedynej przyjaciółce, która zdradziła się z uczuciem dla Stefana.

Bardzo też piękną, bardzo wymowną przez swą prostotę jest trzecia opowieść, pod nazwą „W sercu garbuska." Jest-to historya miłości i szczęścia biedaka, którego los odsądził snać zgóry od obojga, bo mu się rwie, co mozolnie powiązać zdołał, a na miejscu rzeczywistości wyśnionej zostają tylko groby. Smutne to bardzo, ale prawdziwe. Autorka w kreśleniu tych dziejów daje dowód wysoce artystycznego umiarkowania, które ją strzeże od wprowadzania efektów sztucznych i naciąganych. Prości ludzie, proste serca, proste wydarzenia i prosty, naturalny koniec. Ona kładzie się w grób, choć poczciwie a niezachwianie chciała być szczęściem tego biednego garbuska, a on, jak dawniej, jak zawsze, pcha codzienną taczkę pracy na chleb, byle utrzymać życie, w którem już niema i nie będzie ani jednego światełka.

Styl i język Estei, niezawsze czyste i wolne od naleciałości obcych, posiadają zaletę naturalności i giętkości, bardzo odpowiednią ich artystycznemu przeznaczeniu. Forma wogóle bardzo staranna, choć nie nosząca śladów mozolnego obrobienia.

Z działu kalendarskiego, który od pewnego czasu rychło swój byt na rachunek przyszłości rozpoczyna, wysunęły się już dwa gońce, oba zakroju humorystycznego i oba od dość dawna znane publiczności warszawskiej: **„Facet"** i **„Bąk."** *Ambo meliores.* Obiedwie te książeczki zadrukowane są mnóstwem rysunków, mniej lub więcej udatnych. Obie trzymają się przyzwoitej miary w wygłaszaniu konceptów i obie też mogą się bez szkody znaleźć w rączkach i rękach czytelniczek i czytelników.

Bardzo cenny nabytek dla czytelnictwa naszego stanowi książka Johna Stuarta Blackie'go p. t. **„O wychowaniu samego siebie,"** w tłómaczeniu (bardzo pięknem!) J. K. Potockiego. „Celem jej jest nauczenie czytelników, iżby nie powierzali siebie komuś innemu lub przypadkowi, iżby ujęli we własne ręce ster swego życia." Tak mówi przedmowa. Książka w zupełności cel taki osiąga. Autor wskazuje, jak samego siebie *wychowywać* należy, to jest wykształcać się umysłowo i moralnie, na człowieka z wiedzą, charakterem, świadomością przeznaczenia i wiarą w pewne wielkie, a niezbędne ideały życia, które napróżno usuwa się z wielkiego gościńca ludzkości, bo one zawsze powracać będą.

Blackie nietylko jest pedagogiem, jest też prawdziwym filozofem życia, który wniknął w jego najskrytsze tajniki i wyniesionem ztamtąd światłem zapala płomyki samowiedzy w umysłach czytelników. Trzeba go jednak czytać bardzo uważnie i z głębokim namysłem, bo nie usiłuje być wcale popularnym, nie chce wyjaśniać, co wyrzekł niedość zrozumiale, licząc zapewne na to, że ludzie nietylko czytać umieją, ale i myśleć, a więc zrozumieć. Książkę jego zalecamy czytelnikom swoim bardzo gorąco. Duchowa korzyść z niej wielka— jak wielką bywa zawsze z zastanawiania się nad sobą samym.

Bardzo cennym i okazałym nabytkiem *bieżącej* chwili w dziedzinie literackiej jest IV już tom **„Wielkiej encyklopedyi ilustrowanej,"** w którym litera *a* doprowadzona jest do wyrazu *Armenini*. W tym stosunku litera ta przeciągnie się zapewne do tomu szóstego, co znaczy że Encyklopedya będzie rzeczywiście *wielką*, może największą ze wszystkich, jakie dotąd w literaturach świata istnieją. Na szczęście jej rozwlekłość idzie w parze z wyczerpaniem przedmiotów i z gruntownością. Naprzykład wyraz *architektura* zajął stronnice 660 do 721, obszar tak stosunkowo olbrzymi, iż wystarczyłby do utworzenia książki jednotomowej. Wyraz ten ilustruje 160 rycin, objaśniających wszystkie rodzaje architektury wszechświatowej, wszystkie style, uwidoczniających najcenniejsze pomniki budownictwa. Dotąd tak obszernej, tak wyczerpującej i gruntownej monografii tego przedmiotu nie posiadaliśmy wcale. Wyraz *archeologia*, rozpoczynający się na stronicy 605, kończy się na 633, a obejmuje przeszło sto objaśniających go rycin. Tym sposobem „Encyklopedya wielka" nie informuje o danym przedmiocie pobieżnie, ale pozwala uczyć się go, poznawać gruntownie.

Wspaniałe to wydawnictwo, prowadzone z taką starannością, postępuje bardzo szybko, nie chybiając wcale terminów zapowiedzianych. Kiedy skończone zostanie, tego obecnie przepowiedzieć niepodobna, ale życzyć należy, iżby skończone było tak, jak zaczęte, jak jest prowadzone — na chlubę ubożuchnej naszej literatury.

Rz.

TALERZ WESELNY.

NOWELA.

PRZEZ

OUIDĘ.

(Dokończenie.)

Straszny upał sierpniowy spędził z ulicy wszystkie żyjące stworzenia; miasto było ciche, spokojne niby cmentarz, wszystkie okiennice pozamykano, jak gdyby w każdym domu płakano nad umarłym.

Promienie słońca padały prostopadle na głowę Faella, od strasznego upału nogi pokryły się pęcherzami. Ale on myślał tylko o swoim przyjacielu zgubionym.

Kiedy przybył na miejsce, które mu posłaniec wskazał, sam był podobny do psa wściekłego. Oczy zaszły mu krwią, język przylgnął do podniebienia, usta miał pełne białej piany.

Zaczął walić obydwiema pięściami w bramę.

— Mój pies, mój pies! Przyszedłem po swego psa!

Drzwi się uchyliły, ukazała się w nich twarz surowa i gniewna i jakaś figura urzędowa spytała się Faella, jak śmie zamącać spokój ludziom.

Chłopiec bosy, w łachmanach pokrytych kurzem, nie należy do istot budzących poszanowanie w oczach prawa.

— Ukradliście mi psa, udusiliście go!— krzyczał Faello, odchodząc od przytomności. — Mówiono mi że jest tu, chcę go widzieć, bo inaczej wszystkich was zabiję, słyszycie? wszystkich! Pozwólcie mi wejść, przyszedłem po swego psa!

— Precz ztąd, szaleńcze—odrzekł mężczyzna, — bo inaczej każę cię zabrać policyi.

I odtrąciwszy pogrubiańsku Faella, zamknął drzwi.

Faello zaczął bić pięściami w bramę z całych sił.

— Złodzieje, zbójcy, dusiciele, otwórzcie mi zaraz drzwi, pozwólcie mi wejść! Jakiem prawem zabraliście mego psa. Spełniał swoję powinność, pilnował mego wózka. Zabiliście mego psa i skradziono mi wózek. Słuchajcie, słuchajcie, słuchajcie! Kocham go więcej niż siebie. On cierpi głód razem ze mną, podziela moje zabawy, jesteśmy niby dwaj bracia. Jakżeście śmieli go zabrać? Udusiliście go! O Boże, czy oni mogli to uczynić? Słuchajcie, będę dla was pracował, wszystko zrobię co zechcecie, tylko pozwólcie mi go widzieć! Weźcie mnie do więzienia na jego miejsce, a on niech wróci do chaty, do dzieci. Czy przystajecie na to, czy mnie słyszycie?

Ale jego krzyki rozpaczliwe głucho odbijały się o ciężkie drzwi i ciemne mury; godła podłości i niesprawiedliwości człowieka, który z ziemi uczynił piekło dla biednych istot, co się nawet skarżyć nie mają prawa.

Faello uderzał głową o mur i kamienie, oblewał je łzami, zwracał do nich błagania i przekleństwa, a tymczasem słońce ciskało jaskrawe promienie na jego odkrytą głowę.

— Co czynić?—szeptał słabym głosem.—O! drogi święty Rochu, ty, co tak psy kochałeś, zlituj się nad Pastorem, otocz go swoją opieką!

Zdawało mu się że już noc nadeszła, promienie słońca padały mu prostopadle na głowę, rozpalały niby ognisko w jego mózgu.

Kiedy przyszedł do siebie, leżał w cieniu pod bramą, posłaniec zaś stał nad nim pochylony.

— Jak to dobrze, że poszedłem za tobą, jestem kontent z siebie — mówił poczciwiec. — A co, czy ci nie lepiej? Widzisz, słońce ci zaszkodziło, no! nakryj głowę, szczególniej ztyłu. Masz jeszcze oczy jak za mgłą.

— Pies! — szepnął Faello zeschłemi wargami.

I nagle powstał.

— Trzeba było mówić do nich pokornie, byliby cię puścili; na co im było prawić grubiaństwa, oni silniejsi od nas. Gdyby to właśnie nie była chwila, w której nie można wzywać policyanta, byliby cię wrzucili do więzienia za to wszystko, co im nagadałeś. Słuchaj, kowal dostał się do więzienia na trzy tygodnie za to, że uwolnił z ich rąk małą, śliczną psinę, którą widział poraz pierwszy, ale widok skomlącego żałośnie stworzenia rozdzierał mu serce. O! na honor, pięknych doczekaliśmy się czasów! Otóż to wolność, za którą rozlewaliśmy krew swoję! Jezu Chryste, co za głupota, wartoż było dla niej choć raz za cyngiel karabina pociągnąć? Każda z naszych kul nowy sprowadza nam podatek. Śliczne czasy! Poczekaj tu chwilę, ale nie ruszaj się z cienia, jeszcze jasno nie widzisz, mój chłopcze. Znam twego psa, pójdę zobaczyć czy jeszcze żyje.

Faello oparł się plecami o bramę; mózg jego był niby w ogniu, czuł w nim jakby turkot kołowrotka. Gdyby miał w tej chwili pod ręką tych ludzi, co mu jego psa zabrali, byłby ich udusił, lub zabił.

Złe prawa na małe przewinienia rodzą wielkie zbrodnie. Ale ludzie, mający w swych rękach władzę wielką czy też małą, zapominają czasem o tej prawdzie.

W kilka minut, które mu się wydały latami, Faello ujrzał powracającego posłańca.

— Żyje! — wołał zdaleka, — ale niedobrą ma minę, założono mu kaganiec. Zabiją go tej nocy, jeżeli nikt się o niego nie upomni.

Faello jęczał głośno.

— Żądają 25 franków za przekroczenie prawa i 25 franków za to, że ich ugryzł, gdy mu zarzucono stryczek na szyję. Za mniej ci go nie oddadzą.

Faello spuścił głowę na piersi, płacząc gorzko.

— Nie mam nawet 50 centymów — mówił wśród łez.

Posłaniec wzruszył ramionami i przez czas jakiś milczał.

— Otóż to wolność — przemówił po chwili, — mieliśmy się też za co bić, wistocie, byliśmy bardzo przezorni!

Ale Faello nie słuchał go wcale; wszystkie muskuły i nerwy mu drżały.

A więc w braku 50 franków psa mu zabiją?

— Czy nie mógłbyś zkąd dostać pięćdziesięciu franków, skoro tak kochasz swego psa? — mówił posłaniec. Poczem dodał, zniżając głos: — Mają ochotę go zabić, bo pies wistocie pięknej jest rasy. Widziałem chirurga, który przypatrywał mu się przez lornetkę. Ten chirurg ma ochotę egzenterować go żywego, lub też spalić, wyłupiwszy mu przedtem oczy; chce widzieć, mówiono mi, dla dobra nauki, jak będzie konał. O, ci panowie wyobrażają sobie, że temi sposobami odkryją Boga!

Faello wydał słaby okrzyk, niby zając zraniony, poczem, zwinniejszy niż zając, wyrwał się z objęcia swego nowego przyjaciela i znów biedz zaczął z całych sił przez opustoszałe, kurzem pokryte ulice i place spalone od promieni słonecznych.

Stał się silnym jak lew i pędząc jak strzała, powtarzał:

— O szatany, szatany!

Nie miał jasnego wyobrażenia co ma począć, ale mówił sobie w duchu, że musi dostać 50 franków, choćby miał je ukraść z ołtarza, lub też wysadzić drzwi sklepu złotnika.

Naturalnie zacznie od środków godziwych, ale jeżeli mu się nie udadzą, woli się narazić na więzienie, niżeli zezwolić na torturowanie Pastora.

Nagle błysnął mu promień nadziei; może ser Baldasar pożyczy mu 50 franków?

Nie jadł ani pił od wczorajszego wieczora, ubranie jego było wilgotne od potu, jak gdyby je kto zanurzył w wodzie, oczy jego, pozbawione blasku, widziały przez mgłę tumany kurzu, wznoszącego się na drodze, oślepiającego wzrok.

Żyły jego skroni biły jak młoty, a jednakże szedł prosto drogą, którą znał tak dobrze, że mógłby iść po niej z zawiązanemi oczyma.

Jakim sposobem dostał się do wsi, nie umiałby tego powiedzieć. Szedł i biegł, niby przez sen.

Pomimo jednakże szybkości tego szalonego biegu, o czwartej ledwie godzinie dotarł do Imprunety i cały zadyszany wpadł na dziedziniec fabrykanta garnków.

— Czy mogę się widzieć z ser Baldasarem?

Nigdy w życiu nie odważyłby się na podobne pytanie.

— Zgubił z pewnością pieniądze — pomyślał dozorca robotników, biegnąc cotchu po ser Baldasara. — W innym razie nie byłby sobie pozwolił tej śmiałości.

— Nędzniku, zgubiłeś pieniądze! Zaprowadźcie go do sędziego! — krzyczał garncarz, przybiegając cały purpurowy ze złości.

Faello sięgnął za pas i podał mu pokwitowanie banku.

Fabrykant wyrwał mu kwit z dłoni, przejrzał uważnie i zadowolony pod tym względem, mruczał w złym humorze pod nosem, dlaczego niepokojono go niepotrzebnie.

Faello w kilku przerywanych słowach opowiedział mu swoję przygodę. Łzy płynęły mu po policzkach, a łkania przerywały mu słowa, błagał pokornie garncarza, aby mu pożyczył 50 franków.

— O, kochany panie! — mówił, rzucając się na kolana, — gdyby szło o mnie, nigdybym nie śmiał zwrócić do ciebie takiej prośby, ale błagam cię za Pastorem, biednym, niewinnym, tak czułym, uczciwym, otwartym, który mnie kocha bardziej niż siostry moje! O kochany panie, Pastor ma lat 9, cały ten przeciąg czasu pilnował twoich naczyń w mieście, czy zimą, czy latem oczekując mego powrotu. Czy pozwoliłbyś skazać go na najsroższe męki, tembardziej że go możesz ocalić? O panie, panie, będę pracował w dzień i w nocy, w niedziele i święta, dopóki ci nie oddam 50 franków. Święci Pańscy nie wezmą mi tego za złe, oni będą widzieli, dlaczego to czynię. Wysłuchaj mnie, błagam cię, pożycz mi tych pieniędzy, będę twoim niewolnikiem, pracując za muła i siebie, uczynię wszystko, wszystko! Jeżeli mi odmówisz, wezmą go dzisiaj na tortury...

Zatrzymał się nagle, zwracając swe wielkie oczy zalane łzami na twarz fabrykanta i oczekując bez oddechu odpowiedzi z tych ust milczących, które miały wydać wyrok życia lub śmierci na biednego Pastora.

Ser Baldasar nadął wargi, milczał chwilę, poczem rzekł z pewnym rodzajem uśmiechu:

— Psy nie są żadną osobliwością, możesz dostać innego. Nie, nie mogę dać takiej sumy takiemu jak ty hołyszowi.

Faello, nie odpowiedziawszy ni słowa, powstał i, chwiejąc się na nogach, wyszedł z dziedzińca.

— A to na honor piękna historya! — mówił dozorca robotników; — ten chłopiec z pewnością upił się w mieście.

Chwiejąc się na nogach, Faello wyszedł z fabryki i znów znalazł się na drodze.

Po południu powietrze nieco ochłodło, ale ciężkie, niezdrowe wyziewy przepełniały je, niebo bez chmury najmniejszej dziwnego było koloru, ani jeden listek nie poruszał się na drzewie, ani jeden ptaszek nie śpiewał wśród powiędłych gałązek, słychać było tylko monotonne świerkanie polnego konika.

Faello przystanął i podniósł ku szaremu niebu oczy krwią nabiegłe.

Był to chłopiec pobożny, tkliwy, pełen bojaźni Bożej, ale w tej chwili zwątpił o dobrym Bogu był w przystępie najwyższej rozpaczy; być może że surowe prawa, zamiast poprawiać, popychają raczej na drogę występku.

Wtem czyjaś ręka spoczęła na jego ramieniu, spojrzał i poznał Deę.

— Mam tylko pięć franków — szepnęła, — ale weź je, proszę cię — i wsunęła mu w rękę pieniądze. — Powiedz mi, czy nie mógłbyś sprzedać tego talizmanu rodzinnego?

Faello drgnął i westchnął. Był tak pogrążony w bolesnem dumaniu, myślał wyłącznie o swoim nieszczęśliwym przyjacielu więzionym, zagrożonym torturami, więc też nawet widok Dei nie wzruszył go wcale.

— Talizman rodzinny? — powtórzył, — ależ ja przyrzekłem babce nigdy nie ruszać go z miejsca.. przyrzekłem...

— Lecz — przerwała Dea, — jeżeli jest taka wola Boża?... Twoje siostry mowiły mi o tem. Sam Bóg w tej chwili zezwala na to — dodała ciszej.

Usłyszawszy czyjeś kroki, szybko pobiegła ku ojcowskiemu domowi.

Faello pozostał sam, trzymając w dłoni zgnieciony bilet pięciofrankowy.

— Tak, Bóg sam chce tego w tej chwili, taka Jego wola!

Kilka razy powtórzył w duchu te słowa. Ach! gdyby tylko był pewnym tego!

Począł rozmyślać. Jestże to poprostu pokusa szatańska, lub może głos Dei jest wyraźnym głosem anioła?

Odmówił krótką i cichą modlitwę, drżąc ze wzruszenia, błagając Boga o światło i wskazanie mu drogi. Osunął się bezsilny na kamień leżący przy drodze i, zakrywszy twarz rękoma, rozmyślał.

Tak, z pewnością to była wola Boża.

Lepiej ocalić od męczarni biedne, niewinne stworzenie, niż dotrzymywać przyrzeczenia, niemającego żadnego celu. Nawet nieboszczka byłaby tego samego zdania, czuł to w tej chwili.

Był tak silnie o tem przekonany, jak o tem że słońce świeci.

Ona mu za złe kroku tego nie weźmie, nie posądzi go o nieposłuszeństwo. Wszakże sama powiedziała: „tylko wrazie, jeżeli to będzie z wolą Bożą."

Taka z pewnością musiała być wola Boża, bo wszakże Bóg stworzył Pastora, a więc i on jest godzien Bożego miłosierdzia i opieki.

Faello powstał żywo.

Twarz jego była tak blada, jak warstwa kurzu leżąca na drodze, ale silny już był postanowieniem.

— Dobrze uczynię! — zawołał, — i Bóg sam nie może nie chcieć tego—a w głębi duszy jego chwiała się myśl niepewna, że gdyby Bóg osądził inaczej, nie byłby prawdą, nie zasługiwałby na uwielbienie.

Pewnym krokiem skierował się ku chacie i zdjął talizman rodzinny z zardzewiałego gwoździa, na którym wisiał od wieku.

W innym razie przestrach niewytłómaczony nie byłby mu pozwolił dotknąć się rodzinnej świętości, ale w tej chwili jego myśl, serce, dusza jego cała były przy biednym przyjacielu, skazanym na katuszę. Inna myśl nie zajmowała go wcale.

Przestępując jednakże próg chaty, odkrył głowę i przeżegnał się pobożnie.

— Babusiu moja, ni ty, ni Bóg nie gniewajcie się na mnie. Niechaj święci Pańscy będą ze mną, bym przybył na czas jeszcze!

Nigdy później nie mógł sobie zdać sprawy, jakim sposobem wrócił do Florencyi.

Pokazał talerz jakiemuś człowiekowi, właścicielowi dzielnego konia, który pozwolił mu usiąść na swoim wozie.

Przybywszy do Florencyi, pędził jak wiatr po ulicach, ale ani wiedział co czyni i gdzie idzie.

Wpadłszy jak bomba do sklepu kupca starożytności, postawił przed nim talerz, mówiąc słabym głosem:

— Oto jest... proszę mi dać 100 franków.

Ale zanim kupiec wyciągnął po niego rękę, uprzedził go ktoś inny.

Był to mężczyzna o łagodnym, poczciwym wyrazie twarzy.

— Właśnie szukam takiego — wyrzekł, ujmując talerz. — Ale on wart więcej niż 100 franków... poczekaj chwilę, mój chłopcze.

— Ani minuty... proszę o 100 franków.

— Czy to uczciwy chłopiec? — spytał cicho kupca miłośnik starożytności, nie wypuszczając talerza z dłoni.

— Uczciwy jak to mówią z kościami, panie, a talerz jest jego własnością.

Nabywca talizmanu rodzinnego, wyjmując z kieszeni 100 franków, ciekawie przyglądał się Faellowi.

Chłopiec wyrwał mu prawie pieniądze z dłoni i lekki jak jaskółka popędził ku miejscu, gdzie więziono jego przyjaciela.

Raz jeszcze począł uderzać pięściami we drzwi, krzycząc, ale tym razem drzwi się na rooścież przed nim otworzyły, bo wymówił te magiczne słowa: *„przynoszę pieniądze."*

W minutę później, śmiejąc się i płacząc zarazem, przycisnął Pastora do piersi, oblewając łzami szczęścia rany biednego więźnia.

Poczem stracił przytomność.

Poczciwy posłaniec na wózku najętym odwiózł go do chaty.

Pastor położył się przy nim na tapczanie i noc całą przepędził bezsennie u nóg swego pana.

Kilka tygodni upłynęło, zanim Faello przyszedł do zdrowia.

Kiedy już opuścił swoje biedne posłanie, straszne upały minęły. Ziemia była wilgotna i pokryta żywą zielonością, lasy w całej swojej piękności, a winnice obciążone purpurowemi winogronami.

Faello, stojąc we drzwiach chaty, przyciskał głowę swego psa do siebie, myśląc w głębi duszy, że życie wistocie jest czemś bardzo słodkiem.

— Pastorze — mówił cichym głosem, — potrzeba nam teraz ciężko pracować; skradziono mi wózek, zabranego muła trzeba zapłacić, doktorzy pewno dużo kosztowali i jestem pewny, że dzieci długi rachunek pozostawiły u piekarza! Ale co to wszystko znaczy, kiedy jesteśmy razem! Jestem młody i wkrótce wydobędziemy się z biedy. O mój psie, mój psie, jakże ja ciebie kocham!

Nagle zarumienił się, gdyż w myśli stanęła mu Dea.

Mały bilecik pięciofrankowy Dei bez myśli trzymał wówczas w dłoni; miał go jeszcze, wracając do drmu, a wciągu długiej swojej choroby tak silnie ściskał go w ręku, że żadna siła wyrwać mu go nie zdołała.

Nagle stanął przed nim ów cudzoziemiec, który od niego nabył talizman rodzinny, trzymając go w ręku.

Powitawszy Faella nadzwyczaj grzecznie i uprzejmie, zapytał z dobrocią:

— Zapewne z potrzeby sprzedałeś mi tę pamiątkę rodzinną, moje dziecię?

— Tak.

— Czy znasz jej istotną wartość?

— Sądziłem, że nie ma żadnej.

Obcy uśmiechnął się i odwracając talerz, ukazał chłopcu po drugiej stronie cztery litery w następującym porządku:

V

O F

F

a zboku rok 1538.

— Jest-to dzieło Orazia Fontany, z Castel Durante. To nazwisko nic cię nie objaśnia, a jednakże Orazio był wielkim człowiekiem, jednym z największych malarzy ceramicznych w Urbino. Talerz ten wart 1500 franków. Ponieważ nie jestem kupcem, a więc płacę ci tyle za niego, ile wart wistocie. Opowiedziano mi twoją historyą. Jestem cudzoziemcem, ale kocham też twój kraj, mam nawet dobra w okolicy Florencyi. Znajdę ci dobre miejsce; będziesz pracował na mojej roli, a Pastor już nigdy nie narazi swego życia na ulicach miasta.

Faello słuchał tej mowy w najwyższem zdumieniu.

Znał niepowodzenie, rozumiał je dobrze, ale szczęście?

Lecz kiedy wkońcu prawda, olśniewająca prawda żywo zajaśniała przed jego umysłem, twarz mu się rozpogodziła, podobnie jak się niebo rozjaśnia rano z powrotem słońca.

— To była wola Boża! — wykrzyknął głośno chłopiec.

We dwa lata później poślubił Deę, a Pastor szedł na czele weselnego orszaku.

Tłóm. *Józefa Żdżarska.*

Z TYGODNIA

Koniec lata wynagradza nas za jego początek. Letnicy, którym pilno było uciekać do miasta przed deszczami i burzami, żałują teraz swojej niecierpliwości. Słońce świeci tak pięknie, ranki są tak orzeźwiające, a wieczory takie ciepłe! Doprawdy, szkoda że się pośpieszono!

Ale któż mógł przewidzieć?

Warszawa na tej omyłce zyskuje: ożywia się, rozwesela, rozbawia, zaczyna wyglądać przyjemniej i nie jest już nudną pustką, przeznaczoną na siedzibę dla opuszczonych mężów. Szkoda tylko, że słońce chowa się już tak wcześnie, że dnie bywają krótsze, że nie pora już na dalsze, zamiejskie wycieczki, które, bądźcobądź, bywają niedosyć pewne. Bardzo być bowiem może, że niebo lada chwila się zachmurzy, ciepło uleci, deszcze się poleją, bo jesteśmy w bogato wyzłoconym i oświetlonym przedpokoju jesieni.

Miastu ubyły teatrzyki ogródkowe, ale przybył mu zato jeden teatr—Wielki. Jest-to dla niego wypadek wagi pierwszorzędnej, o którym pomówić pragnę *à propos*... przyzwoitości towarzyskiej.

Ma się rozumieć, że, jak już zresztą pisałem o tem przeszłego tygodnia, teatr jest bardzo piękny, że przebudowa jego przynosi zaszczyt tym, co jej dokonali, ale właśnie dlatego, że stał się on salonem wykwintnym, pełnym wdzięku i powagi, należą mu się pewne inowacye obyczajowe, których wprowadzenie nikomu szkody nie przyniesie, a dla wszystkich moralnie stać się może najprawdziwiej korzystnem.

Od pewnego czasu, może od lat kilkunastu, pozwalamy sobie w wielu sytuacyach życiowo-towarzyskich bywać—*sans façon*. Wchodzimy do cukierni w kapeluszach, rozsiadamy się wygodnie w pozach niezupełnie estetycznych bez względu na otoczenie, dymimy sobie pod nos bez względu na miejsce, nie zwracamy uwagi na swój ubiór, który może przecież bywać niestosownym w pewnych chwilach. W przekonaniu wielu ludzi są to objawy demokratyzowania się—w mojem, niedbalstwa i lekceważenia bliźnich. Pewnikiem bowiem jest, i to pewnikiem dość poważnym w treści, że takie... demokratyzowanie się w rezultacie wprowadzić musi do obyczajowości brutalstwo, jako wynik konieczny. Życie w istocie swojej zależy bardzo od form zewnętrznych, których nigdy, oczywiście w granicach rozsądku, lekceważyć nie należy.

Co się tyczy teatru Wielkiego, nieradbym na jego parterze widywać popielatych żakietek, zabłoconych butów i brudnych mankietów, choć, wedle pojęć wielu ludzi, byłoby to bardzo demokratycznie. Nie mogę na żaden sposób zrozumieć, jakim sposobem przyzwoite i odpowiednie do okoliczności ubranie ma być przywilejem arystokracyi. Frak jest wyrazem niwelacyi społecznej, czyste buty porządku,

biały kołnierzyk także—wszystko razem nielekceważenia ludzi, pomiędzy których się wchodzi, nad których zaniedbaniem i niedbalstwem o formy przyzwoitości towarzyskiej wynosić się, to nietylko niedemokratycznie, ale i niedorzecznie.

Nie słyszałem zresztą nigdy, aby od jakości ubrania zależała hartowność zasad...

Nie wchodzi się do salonu, jeżeli się go w przekonaniach swoich lekceważy, lub wchodzi się do niego nie jak do knajpy. Teatr Wielki jest obecnie salonem — rozumiecie, łaskawi panowie?

I wy, dobre panie!

Do salonu żadna z was nie wkracza nigdy w kapeluszu, dźwigając na głowie olbrzymie budy, wielkie ronda, całe pęki kwiatów, skrzydeł, chrabąszczy, robaków, tiulów i wstążek. Ciężko z tem samemu, ciężko i innym. Mianowicie tym, którym takie olbrzymie przystroje główek zasłaniają widok sceny.

Powiecie mi zapewne, panowie i panie, że dotknąłem kwestyi, której poruszać nie warto, że przemawiam jak salonowiec, od zarania życia wychuchany w atmosferze sztucznej, pełnej fałszów i obłudy, zawsze uśmiechniętej słodko, nawet wtedy, gdy prowadzi intrygę przeciw bliźniemu, gdy knuje zdradę i podstęp?...

Mogę wam zaręczyć, że tak nie jest. Jestem bardzo demokratycznym chudopachołkiem, który jednak przenosi wykwint nad brud i zaniedbanie i formy zewnętrznie ponętne nad to, co wstręt budzi i odpycha. Mam najsilniejsze przekonanie, że zaniedbanie w odzieży prowadzi do zaniedbania w mieszkaniu, w życiu codziennem, w stosunkach z ludźmi, najpierw towarzyskich, a następnie społecznych. Wierzę silnie że człowiek, który rzuca pestki od zjedzonej śliwki na chodnik, bez zastanowienia, że na niej inni nogi łamać mogą, jest... niezasługującym na zaufanie i na wiarę w swoje obywatelstwo. Wierzę też że ktoś, co brutalnie lekceważy towarzystwo niedbalstwem ubrania, lekceważyć będzie potem bliźnich wszelkiego rodzaju zaniedbaniem w postępkach. Zacznie od niestawiania się na godzinę naznaczoną, przejdzie przez lekceważenie terminów zobowiązań, a skończy na czynnem krzywdzeniu bliźnich. Stare przysłowie „od rzemyczka do koniczka" zawiera głęboką prawdę moralną, która w życiu urzeczywistnia się na każdym kroku.

Nie wiem dlaczego i dzięki jakim wpływom, jesteśmy niezmiernie skłonni do *negliżowania się* w różnych sprawach życia. To nie demokratyczność — to tylko lenistwo. Niepotrzeba rzeczy brzydkich mianować szumnemi tytułami wcelu pokrycia pozorami brzydkiego jądra rzeczy i własnych ułomności. Kto treść życia opiera na pozorach zewnętrznych, jest oszustem albo półgłówkiem, ale niemniej od niego wart ten, kto życia prawdziwej treści odmawia godnych jej kształtów.

Jeżeli istotnie „*mens sana in corpore sano*," co zresztą sprawdza się we wszystkiem, to niewątpliwie dusza zdrowa i piękna nie przebywa w łupinie przegniłej i wstrętnej...

Maryusz.

Z chwili bieżącej.

* **Tryumf drzeworytnika.** Jeden ze znanych warszawskich drzeworytników, p. Edward Gorazdowski, wysłał był kilka odbitek swoich drzeworytów na międzynarodą wystawę sztuki w Berlinie. Otóż obecnie otrzymał zawiadomienie od dyrekcyi wystawy, że jednę z tych odbitek, przedstawiającą górala, jakiś znawca zakupił za 50 marek. Za odbitkę drzeworytu, mającego mniejwięcej 40 cali kwadratowych, jest-to zapłata niepraktykowana, która tem większego nabiera znaczenia i tem większą p. Gorazdowskiemu chlubę przynosi, że ów znawca „Górala" jego wybrał zpośród tylu prac najlepszych, na jakie tylko drzeworytnictwo europejskie zdobyć się mogło.

* **Konna piechota Zakrzewskiego.** Francuzi zaprowadzają obecnie w swojej armii *konną piechotę*, której batalion, z 6 kompanij złożony, ma być dodany do każdej dywizyi. Jest-to piechota, która wrazie potrzeby wsiada na koń i wskutku tego szybko na dany punkt może być przerzucona. Znawcy wysoko cenią pożyteczność takich oddziałów. Ma to być pomysł samego ministra wojny, p. Freycineta.

Tymczasem cóż się pokazuje? Oto przed kilkunastu laty, naprzód w dragonach, a następnie w huzarach austryackich, służył porucznik Ignacy Zakrzewski, który projekt utworzenia takiej piechoty przedstawił naprzód wyższym oficerom, a gdy go ci wyśmieli, przesłał go do ministeryum wojny w Wiedniu, ale nie doczekał się odpowiedzi. Niezrażony tem, opracował ten sam projekt pofrancuzku i przesłał go marszałkowi Mac Mahonowi, wówczas prezydentowi rzeczypospolitej francuzkiej. I ztamtąd jednak nie nadeszła wcale odpowiedź. Zakrzewski, może dotknięty niepowodzeniem swoich pomysłów, doszedł do obłędu i naprzód w zakładzie dla obłąkanych w Kulparkowie, a obecnie w takim zakładzie wojskowym na Węgrzech umieszczony został.

Gdy się atoli rozeszła wiadomość o owej francuzkiej piechocie konnej, przypomniano sobie w Wiedniu Zakrzewskiego, odszukano jego projekt w ministeryum wojny i przekonano się, iż rzekomy pomysł p. Freycineta jest od *a* do *z* projektem Zakrzewskiego.

Rodzina zapoznanego wynalazcy piechoty konnej przedsiębierze energiczne kroki wcelu rewindykacyi prawa własności jego pomysłu, w czem zapewne dozna należnego poparcia ze strony rządu austryackiego.

* **Elektryczność w ogrodownictwie.** Uczony angielski botanik Rawton dokonał całego szeregu doświadczeń, odnoszących się do wpływu światła elektrycznego na wzrost roślin, i przekonał się, że najczulszą na działanie tego światła jest sałata głowiasta, która w oświetleniu elektrycznem rośnie dwa razy szybciej, niż w warunkach zwyczajnych. We Francyi zaczęto już na wielką skalę stosować elektryczność do hodowli jarzyn, z jaknajpomyślniejszemi podobno rezultatami. Święci garnków nie lepią,—a nuż i mybyśmy tego dobrego spróbowali?...

* **W sprawie przenosin szpitala Dzieciątka Jezus** zaszły dwie okoliczności: jedna pomyślna dla powziętego zamiaru, druga przeciwnie. Pierwszą jest wiadomość, że konsorcyum kapitalistów francuzkich zgadza się na warunki postawione przez Radę miejską dobroczynności publicznej i daje 300,000 franków kaucyi. Drugą jest świeżo poruszony wzgląd na blizkość od folwarku Świętokrzyskiego rezerwoaru wody czystej na stacyi filtrów. Wcelu gruntownego zbadania tej okoliczności, wyznaczona być ma specyalna komisya. Byłaby to rzecz przykra, gdyby się z tego badania pokazało, iż szpital bez szkody dla zdrowia publicznego, nie da się dźwignąć na miejscu, które wiele bardzo przedstawiało warunków dogodnych. Z drugiej strony nie idzie jednak za tem, żeby nie można było wynaleźć dla szpitala jeszcze dogodniejszego punktu, i bodaj jeszcze odleglejszego. Nie trzeba bowiem zapominać, że przy dążności miasta do rozszerzania się w tamtę właśnie stronę, szpital na folwarku Świętokrzyskim za jakie lat kilkanaście znalazłby się prawdopodobnie w takiem samem położeniu, w jakiem jest szpital dzisiejszy na placu Wareckim. A przecież i on, w chwili gdy go wznoszono, znajdował się dość daleko za miastem.

* **Wpływ muzyki** nietylko na uczucia ludzkie, ale i na fizyczne cierpienia człowieka coraz szersze znajduje uznanie i zastosowanie. Lekarze angielscy zapisują wprost muzykę na cierpienia nerwowe, a w Londynie utworzyło się już nawet towarzystwo filantropijne, którego zadaniem jest urządzanie posiedzeń muzycznych, na które uczęszczaćby mogli pacyenci, na ten rodzaj kuracyi skazani.

U nas to przeciwnie: nadmiar muzyki wywołuje w ludziach cierpienia nerwowe. Nasze nerwy ogromnej doznałyby ulgi, gdyby naprzód skasowano katarynarzy i wszelkich zresztą koncertantów podwórzowych, — a następnie gdyby wynaleziono rodzaj porządnej surdynki na fortepiany i zakładanie jej uczyniono obowiązkowem, mianowicie przy graniu gam i wogóle przy ćwiczeniach domowych.

* **Sznury z pajęczyn.** Doświadczenia przekonały, że pajęczyna jest najmocniejsza ze wszystkich przędz na świecie, ba! najwytrzymalsza ze wszystkich materyałów, bo wytrzymalsza od stali. Podczas gdy nitka ze stali udźwignąć jest wstanie zaledwie 2 gramy ciężaru, takiej samej grubości nitka pajęcza udźwignie ich 3 z łatwością. Coby to były za mocne nici, sznury, liny i t. d. pajęcze, gdyby tylko... pajęczyna kręcić się dała...

* **Elektryczność katem.** Rok akurat upływa od czasu, jak w północnej Ameryce, w tym kraju humbugu, ekscentryczności i elektryczności, zrobiono pierwszą próbę zabijania zapomocą prądu elektrycznego ludzi skazanych na śmierć. Próba się nie udała i Kemler, Niemiec, zbrodniarz na którym ją odbyto, męczył się okropnie; dwa razy przez niego prąd puszczano. W opinii powstało straszliwe oburzenie przeciw tego rodzaju egzekucyom; potępiali je nawet ludzie fachowi, uczeni. Zdawało się, że elektryczność z funkcyi kata dostanie dymisyą. Ale rząd Stanów Zjednoczonych jest uparty; po roku blizko, bo w przeszłym miesiącu, ponowił próbę, tym razem na czterech subiektach: na dwóch Yankesach, jednym Murzynie i jednym Chińczyku. Według oficyalnych sprawozdań, próba tym razem wyśmienicie się udała; uboczne doniesienia mówią inaczej. Według nich, wszyscy *zaelektryzowani* mieli po śmierci okropny wyraz twarzy, a ciała ich nosiły na sobie ślady formalnej spalenizny.

Mimo to Ameryka zatrzyma ten sposób wyprawiania na tamten świat zbrodniarzy, a nawet jest tak uprzejma, że przyjęcie jego radzi starszej siostrze swojej, Europie. Czy społeczność europejska zgodzi się na tą propozycyą, czy też zdecyduje się wreszcie na zrzeczenie się wszelkich sposobów odbierania życia, którego nie dała, to przyszłość pokaże.

G. Cz.

Numer 38 wyszedł z druku i zawiera:

Pagadanka naukowa, w krainie gwiazd.—W niewoli u Arabów (powieść, z drzeworytem). — U źródła (z drzeworytem). — Wytrwałością a pracą (powieść).—List z Brazylii.—Od redakcyi.—W dodatku: Roztrzepany Józio (z drzeworytem). — Bławatek i zboże (wiersz). — Na wsi, przez Ludwika Niemojowskiego. — Morusek (wiersz). — Dudek. — Odpowiedzi od redakcyi. — Łamigłówki.

☞ **Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.**

125—1—1

WOLF GOLDFLAM

Plac Żelaznej Bramy Nr 2.

POLECA:

Znaczny wybór towarów wełnianych i jedwabnych najświeższej mody na suknie i okrycia, osobiście na sezon bieżący zakupionych w Paryżu.
Towary fabryk Moskiewskich sprzedaje **po niepraktykowanie nizkich cenach.**

Oliwa Nicejska.
Ocet winny.
Essencya Octowa.
Szafran i Wanilla.
Perfumy.
Woda Kolońska.
Mydło krajowe i zagraniczne.
Gąbki i Wyroby gumowe.
Środki opatrunkowe.

CENY NIZKIE. — W NAJLEPSZYM GATUNKU.

Skład Mat. Aptecznych
Trzciński, Urbanowicz i Różycki,
Krakow.-Przed. 17
wprost kościoła po-Karmelickiego,
w WARSZAWIE.

Telefon 456. Telefon 456.

Najodpowiedniejszy do konserw i marynat, a przytem najlepszy i najtańszy jest

OCET ZBOŻOWY

z Parowej Fabryki,

przy ulicy Polnej, dawniej Przedokopowej Nr 36 (róg Nowowiejskiej).

Telefonu Nr 456.

Fabryka rozlewa u siebie ocet w butelki i szczególnie takowy poleca.

Nabyć można we wszystkich pierwszorzędnych sklepach korzennych i spożywczych.

115 3—3

Wyróżniająca się dobrocią
WODA KOLOŃSKA
ABÉ
jest do nabycia we wszystkich znaczniejszych magazynach perfumeryjnych i galanteryjnych.
Skład Główny, Aleja Jerozolimska Nr 64, w Warszawie. 104 5—6

W Warszawie. 106—4—12
FABRYKA KWIATÓW
A. Rastawieckiej,
Bielańska 8,

PRACOWNIA 109 4—6
SUKIEN I OKRYĆ DAMSKICH
Czesławy Chełmickiej,
Marszałkowska Nr 135, miesz. 11.
Przyjmuje wszelkie obstalunki na sezon bieżący, które wykonywa podług ostatnich żurnali po cenach bardzo umiarkowanych.

S. PRZEZDZIECKI.
Magazyn ubiorów DLA DZIECI, mundury i szynele DLA UCZNIÓW. 1103—12
Kotzebue Nr 2, róg Wierzbowej.

L. MERGENTHALER I SYN
ZAKŁAD
tapicersko-meblowy
6 KRÓLEWSKA 6,
W WARSZAWIE.
1134—10

Zakład Reperacyjny. — Zakład Reperacyjny.

Krawiecki Zakład Reperacyjny
oraz
Pracownia Ubiorów Męzkich
Nowy-Świat 57, m. 5.
Przyjmuje obstalunki i reperacye po cenach najniższych. Wybawianie plam i czyszczenie sposobem chemicznym.
96—8—8
Nowy-Świat 57, m. 5.

Największy wybór Służących, Oficyalistów, Bon, Kucharek i Kucharzy, Gospodyń, Lokai i innej służby, **tylko z dobremi świadectwami i rekomendacyą,** rekomendują trzy kaucyonowane kantory

BRONISŁAWA GILLERN.

Służące **tylko dobrej konduity,** trzeźwe, pilne, a ochocze do pracy — **zawsze mogą znaleźć służbę** u Państwa, za pośrednictwem **kantorów Gillerna.**
KANTOR GŁÓWNY na Marszałkowskiej pod № 103, w Hotelu Wiedeńskim.
Filja 1-sza Marszałkowska № 136, róg Świętokrzyskiej — i
Filja 2-ga Leszno № 18 (w sklepach). 125 1—2

Pierwszorzędne Kaucyonowane Biuro
NAUCZYCIELSKIE
F. Sikorskiej,
w Warszawie, Niecała Nr 12.
Upoważnione przez Władzę na Cesarstwo i Królestwo, pośredniczy w umieszczeniu nauczycieli, nauczycielek i bon. 102 6—6

ZAKŁAD REPERACYJNY
i fabryka wyrobów 1036—10
TOKARSKO-GALANTERYJNYCH
Feliks Krzemiński
w Warszawie, Nowo-Senatorska Nr 3.

Zakład wywabiania Plam i Farbiarnia
LUDWIKA STRASZKIEWICZA,
przy ul. Kruczej Nr 34,
105 5—6 W WARSZAWIE.

W zakładzie pożytecznych zajęć i zabaw gimnastycznych dla dzieci, MARSZAŁKOWSKA Nr 119, zapisy przyjmują się codziennie od 10-ej do 6-ej. 1133—10

LUDWIK ORTHWEIN
MAGAZYN TAPICERSKO-DEKORACYJNY
(Plac Teatralny)
12 SENATORSKA 12
(Pałac Blanka.)
108 4—8

MAGAZYN KONFEKCYI
M. MARCINEK,
11, NIECAŁA 11.
Po powrocie właściciela z zagranicy zaopatrzony został w wybór modeli najnowszych na sezon jesienny i zimowy. CENY UMIARKOWANE. 117 2—9

MAGAZYN MÓD
I STROJÓW DAMSKICH
„KONSTANCYA"
58. Wielka 58.
Przyjmuje roboty po nader nizkiej cenie i wykończa takowe dokładnie i prędko. Przyjmuje pióra do prania i fryzowania.
114 3—8

Zatwierdzona przez wyższą władzę
DYPLOMOWANA SZKOŁA KROJU
i szycia Sukien, okryć damskich. Wykład kroju praktyczny, podług najświeższych żurnali metodą oryginalną Wortha. Po ukończeniu kursu uczennice otrzymują patenty. Przy szkole jest pracownia sukien, okryć damskich i dziecinnych.
Uczennice przyjmują się też na stałe.
Wspólna Nr 24, m. l.
Natalja Tisserant. 121 2—3

Дозволено Цензурою. Варшава, 5 Сентября 1891 г.

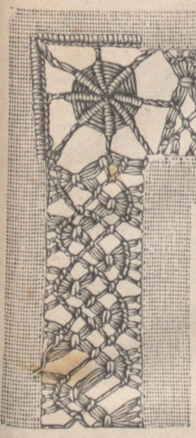
Redaktor i Wydawca **Emil Skiwski.**

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

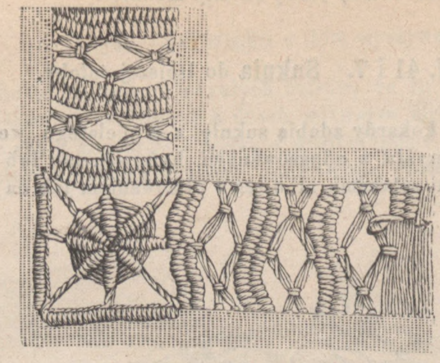
Dodatek.

Opis do N-ru 37.

(Dokończenie).



N. 1. Szlaczek z kratki ażurowej, do bielizny, serwetek i t. p.



N. 2. Szlaczek z kratki ażurowej, do bielizny, serwetek i t. p.

N. 12 – 13 i 22. Koszyczek na ściereczki od kurzu, szczotki i t. p.

W Węgrzech taką formą koszyczki wyrabiają z wiórków drewnianych, oprawne w grube listewki drewniane i używają do chowania nakrycia stołowego t. j. noży, łyżek i widelców. Rozmiar mniej więcej wynosi 31 c. długości, 13 wysokości i 14 c. szerokości. Boki koszyczka można ozdobić deseniem wypalanym, albo pokryć szlakiem haftowanym (podług ryc. 22) na płótnie kanwowem. Do wyszycia można zużytkować resztki włóczki, jedwabiu, filozeli, szneli, nitki złotej; ścieg płaski, luźny i krzyżykowy zastosowany w różnych częściach deseniu przedstawia dokładnie ryc. 22. Rycina 13 daje w zmniejszeniu pendzelek włosienny do okurzania mebli rzeźbionych, ozdobiony na oprawie deseniem wypalanym.



N. 3. Serwetka z tłem wyszywanem. Patrz ryc. 4.

N. 23. Haft dzielony kratką ażurową, na serwety, kapy i t. p.

Model wykonany był na płótnie gazowem, filozelą dzieloną po dwie nitki, którą zastąpić można bawełną kolorową, lub płaską zwaną *flax thread*. Tło może stanowić każdy materyał z dobrze odznaczającemi, łatwemi do obliczenia nitkami. Deseń składa się z gwiazd i kwadratów skośnie obróconych, przedzielanych i otoczonych kratką ażurową. Linje najciemniej odznaczające się na r. 23 są wyszyte ściegiem sznureczkowym kolorem czarnym; gwiazdy mają środeczki żółte a promienie jasno niebieskie i jasno zielone; większe gwiazdy są ciemno różowe; kwadraty mają granatowe rogi a środki różowe z żółtym. Zakończenie serwety stanowi frendzla z kwaścików, zawieszonych na promieniach wiązanych w 18—20 węzłów i skręconych podług r. 23.



N. 24–26. Torebka na bieliznę nocną. Robota szydełkowa i na drutach.

Rycina 24 przedstawia torebkę z pasów robionych szydełkiem



i na drutach i zakończoną około brzegów koronką szydełkową. Wzory i próbki odpowiednich robót znajdą czytelniczki w Tygodniku z lat poprzednich, w dzisiejszym N. daliśmy dwa wzory roboty na drutach, które osoby wprawne i biegłe w takiej robocie wykonywają podług ryc. 25 i 26. Całą torebkę podszywa się kolorową satynką lub kaszmirem a wokoło brzegów obrabia rzędem krzyżowanych słupków i przewleka wstążką. Ząbki szydełkowe wykończone oddzielnie przyszyte są do torebki.

N. 27 — 45. Ubrania żałobne.

N. 27 — 28 i 14. Kapotka do grubej żałoby.

Odrobiona jest bez oddzielnej foremki z krepy angielskiej podług wymiaru danego na ryc. 14. Rondko z prostego kawałka krepy (patrz *b*) jest podług linii kropkowanych przymarszczone na cztery druciki 17, 23, 40 i 50 c. długie. Odwinięte gwiazdką do gwiazdki, jednym brzegiem przyszywa się do główki a drugi trochę odstaje. Główka kraje się podług *a* i marszczy na trzy druciki; brzegi zfałdowane podług znaczków. Listewka krepowe 3 c. szeroka obejmuje brzegi; kokarda z krepy upięta nad czołem i takież końce zapięte płaską kokardą pod szyją.

N. 29—38. Biżuterje do lżejszej żałoby.

Przy grubej żałóbie i krepie nie uchodzą żadne ozdoby świecące, ale przy lżejszej lub do żałoby konwencyonalnej nie dotykającej serca używają wszelkiego rodzaju ozdób dżetowych, układanych z dżetów szlifowanych w kanty co nadaje wielkiego połysku. Dżety szlifują w różnych kształtach okrągłych, kwadratowych, płaskich, wypukłych, podłużnych i t. p. W naszyjniku przedstawionym na r. 29 połączone są rozmaite kształty, objętość szyi dopełnia wstążka repsowa $2^1/_2$ c. szeroka, związana z tyłu w kokardę. Szpilka do włosów wyrobiona z szyldkretu, 18 c. długa, ma główkę wysadzaną dżetami, podobnie jak grzebień rogowy czarny, zakończony dyjademem dżetowym. Opaska r. 37 efektownie odbijająca szczególniej na jasnych włosach składa się z gwiazd i dużych pojedynczych dżetów, osadzonych na obrączce metalowej zapinanej z tyłu. Ryciny 34 i 35 przedstawiają dwie broszki jedna w kształcie kwiata, druga jako motyl siedzący na szpilce.

Pasek jaki widzimy na r. 32 odrobiony z czarno lakierowanego kręconego drucika a klamra 10 c. szeroka, 6 c. wysoka składa się z dużych szlifowanych dżetów; kilka mniejszych rozetek dane w odstępach na pasku. Rycina 33 przedstawia wachlarz odpowiedni do żałoby, gdyż skrzydełka są z matowego drzewa a pokrycie z krepy angielskiej, przewlekanej w zygzak wąziutką atłasową wstążeczką.

N. 39—40. Suknia z długim stanikiem. Krój jak do ryc. 63 i 64 w N. 15.

Uszyta z cienkiego kaszmiru ma długi stanik z baskiną przeciętą w patki, a przody kaftanikowe z ranwersami otwierają się szeroko na kamizelce plisowanej, przyciśniętej gorsecikiem z angielskiej krepy 36 c. długim, sznurowanym pletnią. Patki powstałe przez niedoszycie szwów do dołu, zakończone w górze naszyciem trzech małych szmuklerskich guziczków. Szerokie rękawy przymarszczone i odstające na ramionach u dołu (37 c. szerokie) założone w fałdę przypiętą dwoma guziczkami, co tworzy jakby obcisły mankiet.

N. 41 i 7. Suknia do lżejszej żałoby.

Czarne kokardy zdobią suknię z popielatego wełnianego materyału z odpasowanemi haftowanemi lub ciemniejszemi szlakami, albo też z plisowaniem jak na r. 7. Do zwykłego stanika dodana baskina 31 c. długa z haftu lub plisowania. Spódnica z przodu otwarta na podszewkowej pokrytej materyałem składa się z dwóch prostych części po 130 c. szerokich, z tyłu na szwie ozdobionych wzdłuż haftem lub plisowaniem 10 cent. szerokiem.

N. 44—45 i 20. Ubranie do grubej żałoby.

Dotychczas długie krepowe welony przypinano zfałdowane lub zmarszczone w górze i w pierwszych kilku tygodniach spuszczały się na twarz, następnie spływały z tyłu od kapotki. Obecnie nowa moda wciska się i do tego żałobnego stroju, fałdując welony z tyłu w ten sposób, iż tworzą się z boków fałdy wachlarzowe. Rycina 20 daje wymiar welonu i oznacza fałdy; róg z gwiazdką zwraca się do środka przodu, trzy fałdy od kropki do krzyżyka wypadają z boków kapotki i z tyłu podług r. 44. Płaska kapotka pokryta jest gładko krepą i z przodu otoczona siedmioma wązkiemi pliskami krepowemi. Końce do wiązania krepowe; na twarz spada zaokrąglony woalik tiulowy 100 c. szeroki, 34 w środku długi, zakończony pliską krepową $2^1/_2$ c. szeroką. Suknia gładka kaszmirowa oszyta wokoło plisą krepową, 30 c. szeroką; okrycie kaszmirowe na matowej jedwabnej podszewce.



N. 6. Okrycie jesienne. Patrz ryc. 15 tudzież ryc. 21 w N. 37. — N. 7. Suknia z gorsecikowem vêtement. — N. 8. Suknia zakończona wolantem. — N 9. Suknia z krótkim stanikiem. — N. 10. Sukieneczka wycięta z przemarszczeniem. Patrz ryc. 22—24. — N. 11. Sukienka bluzkowa dla dziewczynki. — N. 12. Su[...] ryc[...]

Opis do N-ru 38.

N. 1—2. Szlaczki z kratki ażurowej, do chusteczek serwetek i t. p.

Obydwa wzory mogą być wykonane biało lub z kolorowem wiązaniem, dla ułatwienia dajemy już gotowy układ narożnika. Na kratkę ryc. 1 trzeba wyciągnąć 27 nitek, które z brzegów wiązane są po cztery jednym ściegiem; następnie po cztery takie promienie łączy się w jedną grupę. W trzech dalszych rzędach kratki promienie rozdzielają się podług ryc. 1 poczem wiążą ku brzegowi tak samo jak przy początku szlaczku. Szlaczek przedstawiony na r. 2 odpowiednio do grubości użytego materyału liczy 30 do 40 wyciągniętych nitek; z brzegu łączy się po pięć nitek jednym ściegiem. Jak to widzimy na wzorze, deseń składają pręciki matowe i kratka; na każdy pręcik trzeba dwa promienie obrzucić ściśle, zajmując nitką po podług kierunku strzałki. W narożnikach trzeba najpierw brzeg wycięty odziergać gęsto, następnie skrzyżować nitki podstawowe na pajączek i zasnuć go matowo.

N. 3—4. Serwetka z tłem wyszywanem.

Różni się tem od zwykłych haftów, że tu właśnie tło się zasnuwa całkowicie a deseń wytwarza się przez obwiedzenie konturów i dodanie gdzieniegdzie żyłek. Na modelu tło było z grubego kanwowego płótna, kontury wywodzone ścieg[...] w równych odstę[...] ciągnięte przez [...] oryginalny deseń [...] na ryc 3 składa [...] nie wyszytej w je[...] wielkości daje ry[...] lona po dwie nitk[...] niach. Kontury [...] pajęczyna i wysz[...] rzą luźno w kół[...]żowaniem ze ściegu sznureczkowego. Brzegi serwetki zdobi szlak z kratki ażurowej i koronka $5^1/_2$ cent. szeroka.

N. 5. Sukieneczka z przemarszczeniem (*smock*).

Bluzkowe sukienki noszone są przez dziewczynki w różnym wieku i najpowszechniejsze ich przyozdobienie stanowi marszczenie zwane *smock*. Na modelu z cienkiej białej wełny w wązkie paski ponsowe i niebieskie, przemarszczenie tworzyło karczek okrągły i wysoki pasek. Gładki podszewkowy stanik złączony jest szwem ze spódniczką 33 c. długą, a 160 c. szeroką. Zwierzchnia bluza liczy 62 c. długości a 225 c. szerokości dolnej; pasek i karczek zakończone nagłówkiem są po 6 c. szerokie. Rękawki po 38 c. szerokie, zakończone przemarszczeniem tworzącem mankiet 3 c. szeroki.

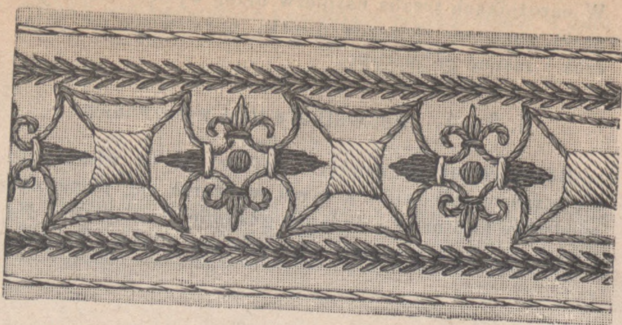
N. 6 i 14. Okrycie jesienne. Patrz ryc. 21 w N. 37.

Pierwsze modele okryć jesiennych odznaczają się długością pośrednią między płaszczykami a krótkiemi okryciami i sięgają do kolan; z materyałów najwięcej używane są mięsiste z długim włosem. Rycina 6 przedstawia model z grubego dyagonalu niebieskawo-zielonego w ciemniejsze nitki, przybranego ciemnym aksamitem, z listwą i podszyciem karczka atłasowem. Przednie części okrycia (patrz a na ryc. 21 w N. 37) tworzące zarazem rękawy, zfałdowane podług znaków przyszywają się do gładkiego karczka (*b*). Plecy krajane razem z boczkiem mają przy baskinie fałdy złożone do środka, przybranie naszyte podług linnii cienkiej. Połączenie części okrycia ze sobą wskazują odpowiednie znaczki; na ramionach od dwukropka do krzyżyka wpuszczony nagłówek zfałdowany z kawałka 60 c. długiego, w środku 10 c. szerokiego, w końcach zwężonego. Patki aksamitne są 40 c. długie, $4^1/_2$ c. szerokie. Kołnierz który można nosić stojąco (pytrz ryc. 15) lub wyłożyć, krajo się podług d na ryc. 15 i podszywa aksamitem.

N. 7. Suknia z gorsecikowem vêtement.

Gładka spódnica i bluzka z materyi jedwabnej tabaczkowego koloru, przysłonięta vêtement z cienkiej wełny białej w paski brązowe, które przykroić trzeba formą princesse, z tą różnicą, że stanik ma wysokość gorsecika wyciętego u góry w zęby 7 c. głębokie. Zapięcie dane z boku na kryte [...]

stanika na środku założone w głębokie fałdy, w górze w kilka mniejszych fałdek, zbliżają się do bluzki. Suknię taką można uszyć z dyjagonalu, sukna lub welwetu — przybranie stanowi ruszą z piór i wązka złota plecionka naszywana kolorowemi szkiełkami. Spódnica 305 c. obwodu mająca, zakończona u dołu ruszą 3 c. szeroką w około szyi i wzdłuż przodu oszycie jest szersze. Pasek z torsady zapięty ozdobną klamrą.



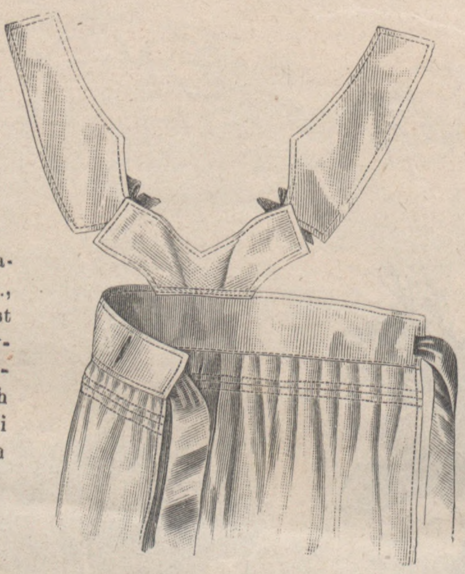
N. 18. Szlaczek haftowany, do sukien, lub t. p.

N. 10 i 22 — 24. Sukienka z przemarszczeniem (*smock*) dla dziewczynki.



N. 14. Plecy do ryc 1 w N. 37. N. 15. Przód do ryc. 6.

Wymiar łatwego kroju sukienki złożonej z prostych brytów daliśmy na r. 24, formę wpadającą do figury nadaje przemarszczenie z ozdobnem wyszyciem, wskazane w naturalnej wielkości na ryc. 22. Górny brzeg przodów zmarszczony jest do 25 c. szerokości, każda połowa pleców po zastębnowaniu siedmiu fałdek liczy 13 cent., przemarszczenie tworzące pasek jest $4^{1}/_{2}$ c. szerokie. Na bufiaste rękawki potrzeba kawałków po 37 c. długich, 12 szerokich, przemarszczonych u dołu na 4 c. Model był z flanelki w paski białe i ponsowe z wyszyciem z kordonkowej białej bawełny.



N. 19. Rozpięta sukienka do ryc. 26.



N. 17. Czepeczek z białej koronki, dla osoby starszej. Patrz ryc. 18 w N. 37.

N. 11 Sukieneczka bluzkowa

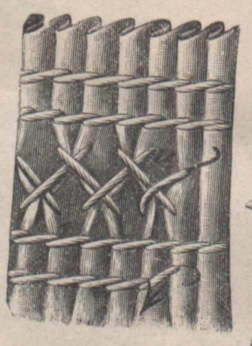
Uszyta z satynki w paski niebieskie i białe przybrana jest ażurowo wszytą wstawką $2^{1}/_{2}$ c. szeroką i koronką 6 c. szeroką. Spódniczka 25 c. długa, 150 c. szeroka, przyszywa się do gładkiego spodniego staniczka; bluzka 37 c. długa, zmarszczona u dołu na elastykę opuszcza się bufiasto. Kołnierz wykładany z wszywki i koronki.



N. 16. Czepeczek z czarnej koronki, dla starszej osoby.



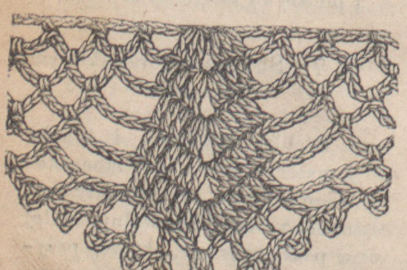
N. 21. Sukienka dla dziecka noszonego na ręku. Patrz ryc. 21 i 27.

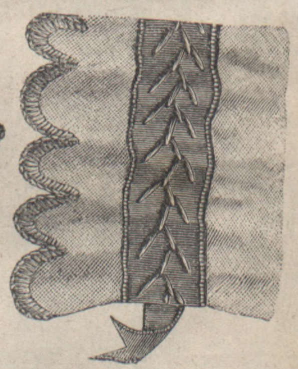


N. 22. Wyszycie na fałdkach (smock) do ryc. 23.



N. 26. Sukienka z pasem gorsecikowym. Patrz ryc. 19.

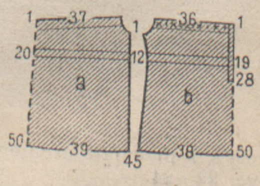




N. 20 Szlaczek do rękawków do ryc. 21.



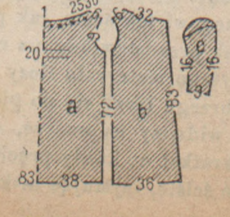
Sukieneczka wycięta z przeeniem. Patrz r. 10 i 22—24.



N. 24. Wymiar do ryc. 23 i 10.

...y dodaną bufę oryginalnie przodu, ułożoną z oddzielnego c. długiego, a 50 c. szerokie... brzegi podłużne przymarsz...o i jeden brzeg przyszywa gładkiej spódnicy, rozsuwając ; aby z przodu tworzyły się biodrach i z tyłu sutsze fałdy. ...ufy przyczepia się gdzienie...cznie na sukni; z tyłu bufa c. głęboki.

(...okończenie nastąpi.)



N. 27. Wymiar ...